

Głównictwo, moglitwa i praktykarze

Michał

CHOROMAŃSKI



Michał Choromański

GŁOWNICTWO, MOGLITWA I PRAKTYKARZE

[Wydawnictwo Estymator](#)

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-59-3

Copyright © Michał Choromański

Tekst: Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1971

Projekt okładki: Marcin Labus

SPIS TREŚCI

- I. PREAMBUŁY DO SEKRETÓW
- II. CI MATOŁKOWACI PAŃSTWO SZETYCCY
- III. GŁOWNICTWO
- IV. FOKUŚNOŚĆ HOLLYWOODU
- V. WYMYŚLEK JADAM GROSSVAN-KUNICKI
- VI. PRZEDSMĄK DZIWNEJ SEMANTYKI
- VII. PIERWSZA WIZYTA
- VIII. ŁOŻA SELEDYNOWA
- IX. MIĘDZY INNYMI O NOSTALGII
- X. DRUGA WIZYTA
- XI. GLORIA
- XII. ROŚLINA W BRZUCHU
- XIII. DALSZY CIĄG KALWARII
- XIV. MOGLITWA
- XV. MASZ, BABO, PLACEK!
- XVI. NIEDŹWIEDŹ MIESZKAJĄCY NA KSIĘŻYCU
- XVII. PIORUNOCHRON I UZDROWIENIE
- XVIII. AS I DWÓJKA
- XIX. DUNDER
- XX. O HISTORII BANANOWEJ I JESZCZE O DOKTOROSTWIE
- XXI. DZIWNA PRALNIA I DZIWNE INTERVIEW
- XXII. NITECZKI
- XXIII. JAK POWIESIĆ KOTKĘ?
- XXIV. ONI
- XXV. NOCNE ARKANY
- XXVI. LA FOLIE DU JAUNE
- XXVII. ZOLTEGO SZALEŃSTWA CIĄG DALSZY
- XXVIII. SPRAWA MOSZCZU
- XXIX. NIEDOGWAŁT
- XXX. NOBLIWY HOTEL „GLORIA”
- XXXI. PAŃSTWO SZETYCCY – JUŻ MNIEJ MATOŁKOWACI
- XXXII. PRAKTYKI
- XXXIII. TYTUŁ

TOM I

I. PREAMBUŁY DO SEKRETÓW

Umarł były wiceminister. Ciało jego obmyto o szóstej nad ranem w obecności urzędnika konsularnego Naddwornego. Zapowiadał się żółty, pełen śpieki dzień. O ósmej, lub trochę później, konsul zadzwonił i Naddworny wszedł do jego gabinetu.

– Dzień dobry, panie konsulu.

Konsul generalny Burski nie był przez nas szczególnie lubiany. Wiedziano o nim, że nie lubi petentów, a lubi tylko centrale. Których może miał dwie. W onych dniach aparaty podsłuchowe nie były jeszcze tak udoskonalone, jak są obecnie. Zamiast mikrofonem posługiwano się uchem. Najdosłowniej. Sądzę, bez żartów, że Burskiego charakteryzowało to, iż miał jakieś niedomagania z uszami. Bardzo często przykładął palec do małżowiny ucha i trochę nią potrząsał bądź pocierał. Wrócimy do tego jeszcze.

Mówiono, że jego prawdziwe nazwisko było Bauer, lecz że zmienił je z powodów dla każdego jasnych po wybuchu wojny. Ja przypadkiem wiedziałem o nim trochę więcej. Miał on już koło pięćdziesiątki, a może ją przekroczył, i bardzo niefortunną, przebrzydłą powierzchowność. Duże, przekrwione wargi i rodzaj guza na łysinie. Tajemnice służby zagranicznej naturalnie nie są mi znane. W założeniu przypuszczam jednak, że konsul powinien ku sobie raczej przyciągać niż odwrotnie. Ale w jego resorcie tak wszystko bywa poplątane, że nie sposób prawie rozróżnić urzędnika konsularnego od reprezentanta całkiem innej służby.

Powiedziałem, że prawie. Jako że w tej innej służbie nie zwracano rzekomo większej uwagi na wygląd zewnętrzny człowieka, a ceniono tylko jego przydatność. Tak przynajmniej mówiono w dniach onych. Zatem gdy się widziało niepociągającą osobę siedzącą na stolcu konsula, można było suponować, iż jest tu od rozmaitych funkcji. Wszakże i do tego wrócimy.

– A...a! dzień dobry – burknął konsul i z pewnym zdziwieniem przyjrzał się Naddwornemu. – A więc niech pan opowie, jak tam było? możecie usiąść.

– Dziękuję, panie konsulu... – Naddworny pomacał trochę jak ślepy oparcie krzesła, a potem niepewnie, półgębkiem na nim usiadł. Wtem coś nim jakby zachwiało i nieomalże przechylił się wraz z krzesłem w bok.

Konsul natychmiast wstał. Był jeszcze bardziej zdziwiony.

– Co to ma znaczyć, panie... panie? Czy jest pan pijany?

– Musiałem, panie konsulu... Wstąpiłem do baru – odrzekł Naddworny, wstając również. – Musiałem... Bo bardzo byłem... byłem i jestem (zaciął się) wstrząśnięty, panie konsulu. Proszę mi wybaczyć. Pan konsul mnie zna nie od dziś. Proszę pozwolić, że... coś zamelduję.

Niesłychane! Burski podszedł do okna zwróconego na ogród i zasłonił kotarę. W gabinecie światło ranne aż pałało. Okien zwróconych na ulicę, niestety, przysłonić nie mógł: to by zaintrygowało policję.

– Tylko niech mi pan drugi raz nie wywraca się na podłogę – powiedział. – A więc, słucham. Co się stało? Byliście obecni przy obmywaniu zwłok?

– Właśnie o tym, panie konsulu... Noga mu się poruszyła.

– Niech pan wytrzeźwieje, panie... Pan mnie zadziwia. Czyja noga?

– Pana ministra.

– R-wicza?... (tak się nazywał zmarły wiceminister).

– Tak jest, panie konsulu. Jemu właśnie... Było trochę po szóstej rano. Mył go jakiś Mulat... Wydzwoniłem go z zakładu pogrzebowego jeszcze w nocy. Bo pan konsul generalny sam wie, że te przepisy... Pochówek musi się odbyć w dwanaście godzin po zgonie. Przepisowo najpóźniej...

– Właśnie... O której pogrzeb? – spytał Burski, już siadając z powrotem.

– W południe. A co do wynosin, mam uzgodnić porę z panem konsulem. Pani ministrowa prosiła mnie o to... Telefonowałem do proboszcza. Pytał się, czy to prawda, że pan minister był masonem? Powiedziałem „babskie gadania!” i że na własne oczy widziałem na jego szyi złoty medalik. Matki Boskiej Częstochowskiej.

– A właśnie... A jak pani?

– Ministrowa R-wiczowa? Przeżyła to, ale... ale nie straciła głowy. Bardzo po męsku... Tylko że mimo otwartych okien – nie ma tam przeciągu. Jak tu, w tym klimacie. Nastawiłem wiatraczek elektryczny...

– Koło... zwłok?

– W tym samym pokoju... Bo rozkład już... pan konsul mnie rozumie... już! Nie wiem, czy można go trzymać tam aż do południa...

– Proszę zadzwonić do pani R-wiczowej i powiedzieć, że będziemy u nich z żoną o dziesiątej. (Burski spojrział na zegarek, a potem na aktówkę leżącą przed nim.) Muszę jeszcze coś załatwić. A poza tym trzeba przecie się przebrać.

– Tak jest, panie konsulu. Czy wolno mi wyjść do domu, by także się przebrać?

– Możecie. A co... co było z tą jego nogą?... Wiele pan wypił?

– Parę koktajlów, panie konsulu. I trochę piwa. Byłem w barze pierwszym gościem... Proszę pana konsula, zgodnie z dyrektywami, a także dlatego że pani ministrowa nie chciała pozostać sama, siedziałem u nich przez całą noc. To znaczy w jadalni... Mulat z towarzystwa pogrzebowego przyszedł dopiero, gdy już było jasno. Mówił, że właściciel nie miał nikogo innego pod ręką i że musiał przyjechać tramwajem z drugiego końca miasta. Zgodnie z tym, co mi pan konsul kazał, byłem przy tym, to znaczy przy obmywaniu. Nie odchodziłem ani na chwilę... Pan minister leży na kanapie w bawialni. Był jeszcze w swym białym ubraniu, w bucikach i tylko koszulę miał na piersi rozpiętą. Pani R-wiczowa nie pozwoliła go rozbierać... Podała mi przez drzwi nożyce i prosiła, aby i spodnie i rękawy pocięto... Pan konsul nie wie pewnej rzeczy... Że kiedy on wczoraj wieczorem runął na ziemię, to mu się przy tym podgięła lewa noga w kolanie... W ten sposób zastygł. Miednicę z wodą, mydelniczkę i gąbkę ja sam zawniosłem z ich łazienki... Mulat położył go na wznak, a potem zapytał mnie, jak mu było ina imię. Odpowiedziałem, że to pan minister R-wicz... „Nie – powiada – chodzi o imię, jakie mu nadano przy chrzcie.” „Jan – mówię – a po hiszpańsku Chuan”. No i wtedy... Pan konsul mi wybacz, czy mogę znowu usiąść, bo mnie trochę mdli.

– Ależ siadajcie... Na razie nie pojmuję, o co wam tu idzie.

– O to, że Mulat mówi do niego po hiszpańsku: „Chuansito, Jasiu!”

– Do zwłok? – spytał Burski.

– Do zwłok. I mówi jak... jak do niegrzecznego dziecka czy... czy... nie wiem, z czym porównać, panie konsulu. Takim serdecznym, głaszczącym, trochę ubawionym tonem. „Chuansito, mówi, i kładzie dłoń na zgiętym kolanie ministra, Jasiu, dość tego, no no już. Przestań w to się bawić. Przestań...” I proszę pana konsula, widzę, że noga się wyprostowała.

– Mam panu wierzyć...?

– Słowo honoru. Słowo honoru byłego wojskowego.

– Nawet wojsko-wego?...

– Przysięgam na swój medal „Wojsko”!

– To co innego.

– Musiałem wstąpić... do baru. Bo mnie coś w żołądku do tej pory... ścisca.

– Wierzycie zanadto w te bajania. To mogło być wcale nie to...
Na biurku zadzwonił telefon i Burski zdjął słuchawkę.

*

„Panie konsulu generalny, dzwoni pani ministrowa R-wiczowa. Czy mam połączyć?” – rozległ się w niej głos woźnego.

– Naturalnie. Zaraz.

– Halo – posłyszał konsul w słuchawce.

– Jestem przy aparacie, proszę pani – odpowiedział. – Tu ja mówię, Burski.

– Panie konsulu. Bardzo pragnęłabym, aby pan mi dopomógł. Zauważyłam... że mój mąż ma zmienioną pozycję ciała. Ale zauważyłam to dopiero przed dwiema minutami, literalnie przed chwilą – mówiła w słuchawce, rzeczywiście trochę po męsku, wdowa po wiceministrze. – Po prostu coś mi się przez pewien czas wydawało dziwnym, a nie mogłam zrozumieć, co. A teraz, przed minutą pomyślałam, jak to, przecie to niemożliwe...

– A co z tą pozycją? dlaczego pani mówi, że ją zmienił?

– Może nie zmienił, tylko jemu się zmieniła. Ma wyprostowaną lewą nogę. Opowiem w szczegółach później. Będę bardzo wdzięczna, jeżeli mi pan pomoże. Może ktoś z konsulatu zadzwoni do szpitala i powie, że życzyłabym sobie sekcji. (Konsulowi drgnęła brew. Zawsze mu leciutko drgała, gdy coś nie szło po jego myśli. Jednak wiceministrowa pamiętała, że rozmawia przez telefon, w którym od czasu do czasu coś szemrało.) Życzyłabym sobie sekcji tylko dla własnego uspokojenia. Żebym potem sobie nic nie mogła zarzucić. Wiem, że dobił go upał i nic – sam upał! Ale cóż, kiedy te wstrętne Stany (konsul uśmiechnął się) nie dały nam wizy. To wszystko przez Stany. Tylko że trzeba się bardzo pośpieszyć, proszę pana. Mamy mało czasu. Czy mogę liczyć na konsulat?

– Zrobię wszystko, proszę pani. I zaraz zatelefonuję. Będziemy u pani o dziesiątej razem z żoną.

– I... i niech pan konsul uprzejmie przepytą Naddwornego. Może i on coś zauważył?

– Dobrze... Raz jeszcze nasze wyrazy głębokiego współczucia.

– Dziękuję...

Słuchawki zawieszono. – Proszę was – powiedział konsul do Naddwornego – trzeba, żeby porozumiał się pan ze szpitalem. Niech ktoś przyjedzie do zrobienia obdukcji.

– Aż? – spytał urzędnik i spojrzął mu w oczy.

– I to nie zwlekając wiele...

Naddworny wstał. – Już idę, panie konsulu.

– A jeżeli nie wytrzeźwieliście, to może lepiej poproście kogo innego. Ale żeby zaraz. Co wam... co wam znowu jest?

– Wciąż mnie mdli, panie konsulu.

Urzędnik wyszedł. Konsul popatrzył na aktówkę, coś tam przejrzał, a potem schował ją do kasy pancерnej, zamknął drzwi na klucz i wewnętrznymi schodkami poszedł do swego mieszkania. Meble tam były przeważnie pomalowane na biało i o szarawo-amarantowych obiciach ze specjalnie w Warszawie tkanego samodziału. Upał aż dyszał w twarz. – Duko! – zawołał, a z sypialni wyszła konsulowa. Przeszli razem nie do wielkiej, oficjalnej sali, lecz do pobocznego saloniku.

– Czy rozmawiałaś z R-wiczową? – spytał cicho.

– Przecież wiesz, że dziś w nocy, kiedy Naddworny ciebie obudził, zaraz potem zatelefonowałam. Zaproponowałam, że przyjdę z nią posiedzieć. Ale ona woli to znosić bez świadków. Nie czuje potrzeby się wyzalać. Zrozumiałam przez telefon, że Naddwornego usadziła w stołowym, a sama zamknęła się w sypialni. W ogóle już taka jest. Przeżywa wewnątrz i nic na zewnątrz. Nie przypuszczam, żeby z Naddwornym zamieniła choć dwa

zdania. Co innego, że nie chciała zostawać sama w mieszkaniu, z tym, z tym... no, rozumiesz z czym. Myślę, że obecność kogoś w jadalni była jej potrzebna... A dlaczego pytasz? nie wyczułam, żeby była nawet trochę splakana.

– To mądra baba – zauważył.

– R-wiczowa? Ty czegoś nie dopowiadasz. Masz taki wyraz wtedy tylko, gdy chodzi o nich.

Konsulowa była jeszcze dość młodą, prawie dziewczęcą wyglądającą panią i mimo że niewysokiego wzrostu, nie nosiła obcasów. Mając jasne włosy, dobierała pastelowe kolory.

– Bo właśnie może i chodzi o nich – zgodził się konsul. – R-wiczowa przed chwilą prosiła, abym spowodował obdukcję.

– Zwłok? To co sobie myśli, że może oni...? Nie, ale to już absurd, przecież on naprawdę był chory na serce. Stale zażywał tę nitroglicerynę...

– Sekcja wykaze jednak, w jakim stanie jego serce było.

– A czy ona się na tym pozna? Każdy będzie mógł jej wmówić, co chce.

– Pokiwała jednak palcem. Oni wiedzą, że ma chody w brytyjskim poselstwie.

– Cóż tam za chody, skoro nie pomogły im dostać wizy do Stanów!

– Kto to wie, jak tam było. Nie wiem, czy aby R-wicz zanadto do wyjazdu do tej Ameryki się palił. Mądra baba. Rozmawiając ze mną przez telefon, nawymyślała Amerykanom. Wystrzeliła niczym z dubeltówki. To im musiało zrobić przyjemność.

Konsulowa zajrzała mężowi w oczy.

– A jednak ty czegoś nie dopowiadasz. Ja czuję, coś się stało, o czym nie mówisz. Powiedz co?

– Absolutnie nic. Najzwyczajniej chciałem cię uprzedzić. Wynosiny o dziesiątej. Jeżeli ktoś będzie się pytał, po co ta sekcja, powiedz, że ja osobiście nie widziałem do tego potrzeby. I zdziwi się przy tym. Książ się wypytywał Naddwornego, czy R-wicz był masonem. (Konsulowa znów zajrzała mu w oczy.) Będę musiał przemawiać nad jego grobem, a książ akurat wylazł z tymi masonami!...

Po czym Baurscy przeszli do swych sypialni, by przebrać się na ciemno. Sypiali osobno. Konsul nic nie opowiedział jej o nodze wiceministra.

*

Przypadkiem wiedziałem o panu konsulu (pochodzącym z Przemyśla), że w okresie Pierwszej Wojny pracował w żandarmerii austriackiej; a także, że miał w Poznańskim siostrę, przeoryszkę jakiegoś klasztoru. Nie mnie sądzić, czy takie rzeczy są możliwe, ale mówiono, że żandarmeria była dlań trampoliną, z której w latach dwudziestych skoczył do MSZ. Zrazu był referentem w P3, potem gdzieś wicekonsulem, zaś w 1926 roku z powrotem w centrali. Właśnie nastął przewrót majowy, po którym – bez złośliwości mówiąc – żandarm awansował już na szefa placówki konsularnej (również gdzieś tam). A gdy wybuchła II wojna światowa, piastował już stanowisko konsula generalnego w bananowym państewku, którego nazwy ani dokładnego położenia geograficznego przypomnieć sobie nie chcę. Konsulat generalny RP, kolonialny budynek, mieścił się w bocznym zaułku prześlicznego a barokowego miasteczka, pełnego kościołów i hiszpańskich zabytków czy naleciałości. Powiedzmy, że nazywało się Santa Isabela. Co do bananów – to rosły tu w obfitości i ich szerokie a długie jak wiosła liście przez rok okrągły błyszczały na tyłach konsulatu swą męczącą zielenią. Niekiedy wyglądały jak zielone lustra.

Baurski mimo swej (co najmniej) brzydkawej powierzchowności potrafił łąco nawiązywać kontakt zarówno z tuziemcami, jak i z nami: w sali i w saloniku konsulatu, w restauracji i w domach prywatnych; wyjątek jednak tu stanowił jego gabinet. Tam ukazywał petentom już nie tylko swe przebrzydkie oblicze, ale i oblicze jakby po aktorsku umęczone.

Wzdychał, pocierał sobie to lub tamto ucho, cokolwiek się nawet garbił. Wyglądał jak schorowany. W ten sposób przejawiało się jego niechęć do petentów... Konsulowie różnie się ich pozbywają: jedni przyobiecywaniami, drudzy kanciastą lapidarnością – zaś Burski swym prawie o współczucie proszącym umęczeniem.

Poszedłem z nim kiedyś na obiad do rotisserie, której właścicielem był rodzaj byłego krowopasa z interioru. Nie pytając się o moje zdanie, Burski zamówił dla nas potrawę z mięsa, która przypominała upieczony warkoczek dziewczynki. Taką jakąś plecioneczkę.

– Wciąż mam coś z uszami, panie Jeremi – poskarżył się, (choć na imię mi Jerzy). – W służbie zagranicznej to się często zdarza. Wie pan, platfus dyrygentów albo solistów skrzypków, którzy wciąż muszą stać. W końcu mają te swoje płaskie stopy. (Potarł sobie ucho). Bardzo to mi dokucza, a także i wielu moim kolegom. Niech pan weźmie na przykład naszego Naddwornego. Nie wchodzę w zapatrywania polityczne, jakie miał dawniej. Chodzi o jego późniejszy okres, kiedy się nawrócił. Powiedział do mnie kiedyś, że nienawidzi teatru. „Teatru, a dlaczego? nawet komedii?” – „Może szczególnie komedii, panie konsulu!” – „Ciekawe, to one was nie bawią?” – „Ja, panie konsulu, zwykle otrzymywałem bilety darmowe. Tylko że za to musiałem obserwować. Kto kiedy się zaśmiał, a w którym miejscu kto zaklaszcze. Albo powiedzmy pogardliwie parskanie, jak zobaczy na scenie aktora grającego patriotę. Trzeba było wyteżać uwagę, żeby śledzić na raz i akcję, i reakcję”. To powtarzam panu, panie Jeremi – dyplomata ma też swój platfus, to znaczy to jego biedne ucho!

Nie zdziwiłem się temu wynurzeniu. W pierwszych latach wojny skłonności do spowiadania się z tajemnic państwowych, des secrets du Roi, były na emigracji rzeczą nagminną. Rozwiązały się języki bez wyjątku wszystkim. Od razu po wrześniu. Charakteryzowało to i tych, co pozostali tam, i tych, co zwiali tutaj. Potem cokolwiek opamiętano się.

Burski znów potarł sobie ucho. – Niezdolność uczucie... Aż mi niekiedy coś w tych uszach bzyka. Przecie dwadzieścia lat, niech pan tylko sobie pomyśli. Przecie to trzecia część życia! Słuch w końcu musi się zmęczyć... Pan myśli, że to może przejść bez śladu? Nie, panie Jerzy, w żaden sposób, na organie słuchu to musi się odbić. Na przykład rozmawia pan ze mną i w tej chwili słyszy tylko mnie. A tymczasem ja... ja słyszę... ot tam, widzi pan tych dwóch hidalgów, wybierających sobie pieczyście z rusztu. Słyszę! bezwiednie, z nawyku słyszę, co między sobą... mówią. Gdybym nawet nie chciał, to bym i wtedy słyszał. Już nie mogę bez tego. Nie musi pan jednak myśleć, że to tylko ze mną. Mówiłem już – każdy... każdy. Od najniższego urzędnika konsularnego na dole, aż po ministra pełnomocnego bądź ambasadora. Może pan wierzyć memu doświadczeniu i temu, co mówię. Każdy z nas ma w końcu coś z uszami... Bo jak raz się do tego przywyknie, to już się nie odwyknie. Jak z tymi dwoma hidalgami, których teraz wciąż słyszę. (Westchnął)... Więc ja, proszę pana, mówię mu... do tego biednego mego Naddwornego: „Jest pan przecież rocznikiem dopiero 901 roku! I co? – już nie może pan chodzić na komedie?”... Zresztą, to właściwie wielka sobie ciapa i nie rokuje mu nic w przyszłości. Trzymam go dlatego tylko, że coś tam się za nim lewicowego wlecze z dawniejszych jego lat. Nawet... między nami mówiąc (tu pan konsul przechylił się przez stolik), nie bardzo wierzę w jego kompletne nawrócenie. Ale nie jestem endekiem ani zażartym obskurantem. To mi raczej na rękę. Jeżeli mam coś załatwić z jakimś liberałem – zawsze go do niego posyłam. Swoją drogą... A... a jak panu smakowało to danie? Nieprawda że cymes, wiedziałem, co dla pana wybrać.

– Jakieś dość... dziwne w smaku. A co to takiego, te splecione warkoczki. Z czego to?

– A to, że tak się wyrażę, płeć byka – odpowiedział.

W odległym kącie rotisserie paliło się ognisko, nad którym obracały się różny. Żar szedł stamtąd. Ale znacznie mniejszy od tego, co walił przez rozwarte okna z patio wyłożonego rodzajem mozaiki z marmuru.

*

Takim oto był Burski. Zaś o konsulowej wiedziałem, że jest więcej niż z dobrego domu (acz z podupadłej gałęzi), a po matce półkwi Greczynką. Znając kilka języków, pracowała jako daktylografka w Pałacu Brühla. W czasie kanikuły pojechała kiedyś nad Adriatyk – a stamtąd statkiem włoskim z Palermo do Marsylii. Była jeszcze panną i nie tyle po matce, ile po ojczulku (bardzo popularnym we Lwowie) raczej dość szusowata. O świcie, gdy w iluminatorze już zajaśniało błękitne a złocące się morze, drzwi jej kabinki otworzyły się cicho i wszedł steward. Pomyślała, dlaczego tak wcześniej? I dlaczego nie zapukał? Przecie to nie pora na śniadanie...? Odruch jakiś kazał jej wszelako przymrużyć oczy. Widziała przez rzęsy, jak chłopak w białej kurtce zbliżył się na palcach, a potem klęknął przed jej koją. Wyciągnął rękę i przykrył dłonią jej pierś. Przez cały czas udawała, że śpi.

Czemu ta morska przygoda sprawiła, że po powrocie do Warszawy nauczyła się pić? – trudno powiedzieć. Dość, że po kilku latach stała się prawie nałogową pijaczką i w 1926 roku miała już wyraźnie ochrypli głos. Z Pałacu Brühla zamierzano ją wylać, a ponadto zagrażały jej suchoty. Najgorsze, że przy tym przechodziła z rąk do rąk. Była już nie tylko szusowata, ale jakoś podobna, po staropolsku mówiąc, do murwy. I właśnie w tym okresie poznał ją i z nią się ożenił Stefan Burski, którego niedawno odwołano do centrali. Wyciągnął ją któregoś wieczoru z jakiejś knajpy „Pod Retmanem” koło przystani „Vistuli” i niemalże spod mostu. Osobliwe miejsce dla daktylotypistki Pałacu Brühlowskiego, co? Co prawda, była w towarzystwie dwóch artystów scen polskich, lecz i oni, żal się Boże, w jakim znajdowali się stanie.

Lubo nie wniosła żadnego wiana, Burski był ponoć dla niej niczym anioł, może dlatego, że miała siedem pałek heraldycznych, gdy on nie miał – żadnej. Zaciemnienia w płucach wkrótce pozniakały. Głośna panna Duka stała się wcale niegłośną panią konsulową. Wolno się domyślać, że z gruntu pocziwa – czuła do męża wdzięczność za to, co dla niej uczynił; być może tam pod mostem zgoła nie było różowo, nawet w towarzystwie artystów. Ustatkowała się wraz i tylko to jej pozostało z nałogu, że wychylając kieliszek przed obiadem – wkładała go sobie jakimś szczególnym ruchem prawie w całości do rozwartych ust. I nigdy nie marszczyła się.

Kiedyś piłem z nią herbatkę w ich saloniku. Burski siedział z gośćmi w innym kącie.

– Tu (a mówiła o Santa Isabeli) tylko głupi chodzi z zadartym podbródkiem i patrząc na gwiazdy. Tylko ostatni dureń nie patrzy sobie pod nogi. Bo przecie lada co może nastąpić na węża lub jakieś trujące paskudztwo. Czy pan wie, że tu nikt nigdy nie siada na trawie? Bo któż by siadał na własnym grobie? Są tu takie żmije, przeciw którym nie ma jeszcze serum. O Boże, Boże, gdyby kto wiedział, co to znaczy nostalgia! Niech pan pamięta i innym powie, że zawsze, zawsze trzeba patrzeć w dół...

Może istniało w tym, co mówiła, jakieś podwójne dno? Może chciała nas skłonić do czujności, jeżeli nie przyziemności. Namawiała do tego, by nikomu tutaj nie ufać, nie liczyć gwiazd na niebie, a za to liczyć się z niezwykle obcymi nam duchem tuziemcami, o których zazwyczaj mówiła „oni”. Lecz gdyby ktoś spróbował postawić kropkę nad i – natychmiast jęłaby tych ich wychwalać, nie szczędząc komplementów.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI